

**W eksplozji** zginęło 28 osób i 89 zostało rannych, a uszkodzeniu uległy wszystkie budynki w Cytadeli. Na zdjęciu: widok z pawilonu X, Warszawa, październik 1923 r.

**Wybuch w prochowni Cytadeli warszawskiej był tak silny, że z odległego o ponad 40 km Mińska Mazowieckiego ktoś zadzwonił, pytając, czy to trzęsienie ziemi. Eksplozja z października 1923 r. wstrząsnęła nawet życiem politycznym II Rzeczypospolitej**

*Tomasz Targański, Newsweek, nr 14, 1-7.04.2019 r.*

Rankiem 13 października 1923 r. życie załogi toczy się wedle ustalonego rytmu. Na dziedzińcu trwa musztra kompanii 21. Pułku Piechoty, pracownicy pobliskiej szwalni szyją sorty mundurowe, a za murami twierdzy, na nieodległym brzegu Wisły, ćwiczą żołnierze 80. Pułku

Piechoty. Pod magazynami prochu krząta się grupa robotników. Dochodzi godzina 9, kiedy nad wałem prochowni pojawia się niewielki obłok dymu. Ktoś krzyczy: „ogień, uciekajcie!” Chwilę później Cytadelą wstrząsa ogłuszający huk.

Prochownia zagłębiona była w ziemi i otoczona wałem, dlatego siła wybuchu skierowana była w górę. Na szczęście nie doszło do eksplozji setek ton pocisków artyleryjskich w położonym wokół prochowni forcie amunicyjnym, ale siła wybuchu miała taką siłę, że na prawym brzegu Wisły przesunęła ceglane konstrukcje hełmów wież kościoła św. Floriana. Na Starym Mieście wypadły szyby, raniąc przechodniów. Z Mińska Mazowieckiego ktoś zadzwonił, pytając, czy w Warszawie było trzęsienie ziemi.

Pierwszy bilans ofiar: 28 osób zginęło, ponad 160 było rannych. Poza wojskowymi ucierpiało też wiele kobiet i dzieci. Ze względu na horrendalne ceny wynajmu w Warszawie dowództwo garnizonu zezwoliło bowiem na zakwaterowanie rodzin oficerów i podoficerów w budynkach Cytadeli.

## ZAMACH CZY WYPADEK?

Mieszkańcy stolicy wstrzymali oddech, zastanawiając się, co się stało. W prasie od razu ruszyła lawina spekulacji. Z pierwszej strony „Dziennika Białostockiego” krzyczał tytuł: „Pierwsze wyniki dochodzenia w sprawie katastrofy na Cytadeli! Możliwe zaprószenie ognia od papierosa”. Szerokim echem odbijają się zeznania cudem ocalałego szeregowego Juszczaka, który pełnił wartę w pobliżu prochowni i widział, jak jeden z robotników chciał wejść do prochowni z papierosem w ustach. Juszczak kazał mu go zgasić, ale zamiast rzucić niedopałek na ziemię i przydeptać, robotnik zmiął tlącą się końcówkę w palcach, a niedopałek schował do kieszeni. Chwilę później Juszczak dostrzegł złowrogą strużkę dymu nad prochownią.

Cytowani w gazetach rzeczoznawcy twierdzili, że kondensacja łatwopalnych pyłów i gazów w prochowni była tak duża, że pożar mógł wyniknąć z prostego zetknięcia powietrza z ogniem. Oględziny terenu nie dostarczyły materialnych dowodów na zamach. Nie odnaleziono elementów bomby ani lontu. Poza sześcioosobową grupą pracowników prochowni i wartownikami w pobliżu nie było też osób trzecich.

Służby państwa nie miały jednak wątpliwości, że wybuch nie był przypadkowy. Już nazajutrz po wybuchu rząd wydał komunikat „Zbrodniczy zamach w Cytadeli”. Czytamy w nim: „Po próbach terroru przez rzucanie bomb we wszystkich miastach polskich i zamachach na urzędy kolejowe

- wybuch dzisiejszy jest naocznym jaskrawym wyrazem bezwzględnej walki przeciw Polsce". Prasa związana z obozem narodowym oraz ta wydawana przez organy rządowe pisze o „zbrodniczym zamachu" oraz o tym, że po Warszawie już od jakiegoś czasu krążyły plotki o planowanym ataku.

Działanie wrogich państwu „sił zewnętrznych" szybko stało się dominującą narracją. Tym dokładniej rozpatrywana była rola, jaką w tamtych zdarzeniach odegrał robotnik z zeznań Juszczaka. „Gazeta Warszawska" z 14 października 1923 r. pisała o tajemniczym mężczyźnie, który feralnego ranka wszedł do prochowni. Strażnik przepuścił go, choć nie miał on przy sobie wymaganej legitymacji. Później do jednego z warszawskich szpitali trafił mężczyzna „podobny do opisanego przez policję, ale dziwnym zbiegiem okoliczności nie odnotowano jego nazwiska". Tożsamość mężczyzny pozostała niewiadoma, choć autor tekstu podaje, że był już on karany więzieniem za zdradę stanu.

W coraz bardziej gorączkowej atmosferze rozpoczęło się polowanie na winnych. Stefan Sacha, członek Związku Ludowo- -Narodowego, pisał na łamach „Głosu Pomorskiego": „Zbliża się ostatni okres walki o Polskę! Kto w takiej chwili wycofuje się z pola walki albo może staje po stronie nieprzyjaciela - ten jest nie tylko tchórzem, ale i zdrajcą!".

Wokół tragedii w Cytadeli zaczynają krążyć coraz bardziej sensacyjne plotki i teorie spiskowe. Jeden z urzędników dyrekcji teatrów warszawskich zeznał, iż w przeddzień wybuchu w domu znajomej pojawił się człowiek, który przestrzegał przed wyjściem na ulice następnego dnia, gdyż w stolicy stanie się coś strasznego.

Nikt nie brał już pod uwagę, że faktyczną przyczyną katastrofy mogło być zwyczajne nieprzestrzeganie procedur bezpieczeństwa lub zbyt daleko idąca pewność siebie. Pewnego rodzaju wskazówką może być zeznanie gen. Kazimierza Pławskiego - zastępcy szefa Departamentu Artylerii i Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - złożone podczas posiedzenia sejmowej komisji wojskowej. Pławski wykluczył wówczas możliwość nieszczęśliwego wypadku, ponieważ jego zdaniem proch składowany w Cytadeli miał być zbyt świeży. Samozapłon od papierosa nie wchodził więc w grę, bo, jak generał sam przyznał, osobiście wchodził do prochowni z zapalonym papierosem i nigdy nie doszło do katastrofy (sic!).

OBŁAWA I PROCES

Pierwszymi, a zarazem najbardziej oczywistymi kandydatami na sprawcę zbrodni byli komuniści. W kolejnych dniach w Warszawie, Krakowie i Lwowie policja aresztowała kilkaset osób podejrzanych o działalność komunistyczną. Wybuch w Cytadeli potraktowano jako krwawą kulminację serii zamachów, do jakich doszło w ciągu poprzednich miesięcy. W maju 1923 r. bomba eksplodowała w jednym z lokali na Uniwersytecie Warszawskim, zabijając prof. Romana Orzęckiego. Terroryści zaatakowali również redakcje „Gazety Warszawskiej" i „Rzeczpospolitej". W tym samym czasie ładunki wybuchowe podłożono w budynkach Powiatowej Komendy Uzupełnień w Białymstoku i Częstochowie.

Policja uznała, że kampania przemocy została zaplanowana przez działaczy zdelegalizowanej w 1919 r. Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP). Człowiekiem, który rzucił nieco światła na zbrojną działalność KPRP, był Józef Cechnowski, policyjny agent w roli członka komunistycznej siatki terrorystycznej. Cechnowski zeznał, że wiosenne zamachy zaplanowali dwaj oficerowie Wojska Polskiego: Walery Bagiński z Centralnej Szkoły Zbrojmistrzów oraz Antoni Wieczorkiewicz, służący w ekspozyturze II Oddziału Sztabu Generalnego w Krakowie. W sierpniu - a więc na trzy miesiące przed wybuchem w Cytadeli - obaj zostali aresztowani.

Bagiński i Wieczorkiewicz byli znani jako działacze KPRP i nie kryli się ze swoimi poglądami. Charakteryzowała ich jednak nietypowa jak na komunistycznych terrorystów przeszłość. Bagiński był zagorzałym piłsudczykiem, oficerem I Brygady Legionów. Pełnił wysoką funkcję w strukturach Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Został odznaczony orderem Virtuti Militari. Wieczorkiewicz również był członkiem POW, a jako oficer Wojska Polskiego brał udział w II powstaniu śląskim.

Kiedy rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie winnych tragedii w Cytadeli, zeznania Cechnowskiego pasowały do tezy o komunistycznym spisku. W efekcie Bagińskiemu i Wieczorkiewiczowi (choć przed aresztowaniem nie znali się nawet osobiście) postawiono zarzuty spisku i organizacji październikowego zamachu. Ich proces rozpoczął się 20 listopada 1923 r., a słaby materiał dowodowy, na którym oparto akt oskarżenia, od razu spotkał się z krytyką. Poza rewelacjami Cechnowskiego koronnym dowodem na związek Bagińskiego i Wieczorkiewicza z zamachem miał być fakt, że kiedy dowiedzieli się o wybuchu, odśpiewali w celi rewolucyjną pieśń „Czerwony sztandar".

Zeznania, że obaj w ten sposób uczcili powodzenie zaplanowanej przez siebie akcji, złożyli współwięźniowie, którzy rzekomo słyszeli śpiew (wkrótce część z nich wycofała swoje zeznania).

W winę oskarżonych powątpiewała nawet skrajnie prawicowa część opinii publicznej. Wśród tradycyjnie antykomunistycznych narodowców narodziła się konkurencyjna teoria, wedle której Bagiński i Wieczorkiewicz należeli do związanego z Józefem Piłsudskim tajnego „peowiacko-strzeleckiego zrzeszenia". Celem tej grupy, nazywanej przez publicystów „lewo-belwederską", było zdyskredytowanie ówczesnego rządu Wincentego Witosa i powrót do władzy Piłsudskiego przebywającego wówczas w Sulejówku. „Kurier Poznański" stwierdził nawet, że obrońcy oskarżonych zachowywali się jakby chronili interesy nie Wieczorkiewicza i Bagińskiego, ale „pewnej wysoko postawionej osoby". Bez wątpienia chodziło o Piłsudskiego.

Przebieg procesu wzbudził oburzenie na lewicy, która uważała za niedopuszczalne, że akt oskarżenia został oparty wyłącznie na wersji wydarzeń podanej przez Cechnowskiego. Liczne znaki zapytania doprowadziły w końcu do powołania specjalnej sejmowej komisji śledczej. Na jej czele stanął prawnik i poseł PPS Adam Pragier. Na mocy szerokich uprawnień nadanych komisji Pragier mógł przesłuchać Bagińskiego i Wieczorldewicza - obaj nie powiedzieli ani słowa na temat swoich mocodawców. Zdaniem komisji Cechnowski był mało wiarygodny, skazani padli zaś ofiarą policyjnej prowokacji, jej cele nie zostały jednak ujawnione.

## STRZAŁ W CIEMNOŚCI

Bagińskiego i Wieczorkiewicza skazano na karę śmierci. Sąd nie wziął pod uwagę licznych wątpliwości oraz luk w akcie oskarżenia, włącznie z faktem, że w momencie wybuchu obaj byli już w więzieniu. Kiedy skazani oczekiwali na wyrok apelacji, doszło do próby odbicia ich z Pawiaka przy ulicy Dzielnej. W zakończonej fiaskiem akcji miało wziąć udział kilkanaście osób - członków komunistycznego podziemia.

7 maja 1924 r., dzień po podtrzymaniu kary śmierci przez Najwyższy Sąd Wojskowy, prezydent Stanisław Wojciechowski niespodziewanie ułaskawił Bagińskiego i Wieczorkiewicza. Dla części opinii publicznej był to szok. Dlaczego prezydent darował życie rzekomym komunistycznym terrorystom, skazanym przez wszystkie instancje sądów Rzeczypospolitej? Prawicowa prasa wyrzucała Wojciechowskiemu, że kilka miesięcy wcześniej nie skorzystał z prawa łaski wobec Eligiusza Niewiadomskiego, mordercy prezydenta Narutowicza. Jeszcze większe zdziwienie wywołała informacja, że rząd przystał na wysuniętą przez Związek Sowiecki propozycję wymiany skazanych na przetrzymywanych w Moskwie polskich więźniów.

W niedzielę 29 marca 1925 r. pilnie strzeżony pociąg, składający się z lokomotywy i jednego wagonu transportowego, ruszył w kierunku stacji kolejowej w Stołpcach, tuż przy granicy

polsko- -sowieckiej. Ze względu na niedawną próbę odbicia więźniów środki bezpieczeństwa zaostrzono, a Bagińskiego i Wieczorkiewicza otaczała liczna policyjna eskorta. Jednym z funkcjonariuszy był 29-letni Józef Muraszko, szef pogotowia śledczego w Stołpcach. W pewnym momencie Muraszko podniósł się, podszedł do eskorty i spod ramienia jednego z policjantów dwukrotnie strzelił do więźniów. Powstał nieopisany chaos. Muraszko nie stawiał oporu i został rozbrojony, a na odchodnym zwrócił się do miejscowego starosty: „Zabiłem tych zbrodniarzy. Polska mi to wybaczy". Bagiński, trafiony w szyję, zginął na miejscu. Wieczorkiewicz leżał nieprzytomny, krwawiąc obficie z brzucha i wkrótce zmarł w szpitalu.

Proces Muraszki trafił na pierwsze strony gazet. Fakt, że funkcjonariusz na służbie dokonał samosądu w imię tzw. wyższych wartości, uznano za kompromitację państwa i dowód na panującą w nim anarchię. Ze względu na „patriotyczne pobudki" część opinii publicznej żądała uniewinnienia oskarżonego. Wyrok był dość łagodny - Muraszko został skazany na dwa lata więzienia. Sąd uznał, że nie zaplanował mordu i działał w stanie „silnego wzburzenia duchowego". Bagińskiego i Wieczorkiewicza pochowano na cmentarzu w Stołpcach, a ich rola w sprawie wybuchu w Cytadeli pozostaje jedną z zagadek II Rzeczypospolitej. Jeśli w ogóle jakąkolwiek odegrali.

***Opracował: Leon Baranowski, Buenos Aires – Argentyna***